

Susan Sontag, *Choroba jako metafora. AIDS i jego metafory*,
Wydawnictwo Karakter, Kraków 2016, ss. 171

Zawsze warto rzucać wyzwanie odwiecznemu z pozoru nieubłaganemu procesowi, dzięki któremu choroba nabiera znaczenia (stając się odpowiednikiem najgłębszych ludzkich lęków, a także stygmatem), zwłaszcza że proces ten w świecie współczesnym cieszy się ograniczoną jedynie wiarygodnością: wśród ludzi przyznających się do nowoczesności znalazł się na cenzurowanym¹.

Po przeczytaniu zaledwie kilku stron czytelnik utwierdzi się w przekonaniu, że ma do czynienia z niezwykle subtelną i głęboką refleksją. W tym przypadku refleksją na temat nie tyle choroby w sensie fizycznym, ile choroby jako figury i metafory. Celem pracy Susan Sontag jest zarazem naświetlenie owych mitów oraz wskazanie sposobów uwolnienia się spod ich wpływu.

W pierwszym z dwóch wchodzących w skład tej książki esejów, w tekście zatytułowanym *Choroba jako metafora*, autorka stara się wskazać przyczynę tworzenia się genezy oraz siłę fantazmatów związanych z chorobami, by w dalszej kolejności skupić się na przedstawieniu skutków tej obłądnej metaforyzacji. Czyni to między innymi, opierając się na licznych przedstawieniach pochodzących z literatury oraz filozofii. W tekście napisanym dziesięć lat później, w eseju pt. *AIDS i jego metafory*, Sontag stara się wskazać na pewną ciągłość sposobu interpretacji rozmaitych chorób, interpretacji dokonywanych za pomocą szczególnego języka (zwłaszcza metafor tworzonych w jego ramach), by ostatecznie postawić tezę, że obecny sposób odnoszenia się do AIDS pozostaje w ścisłym związku z niegdysiejszym sposobem postrzegania takich chorób jak gruźlica czy syfilis. Druga część omawianej książki jest

¹ S. Sontag, *Choroba jako metafora. AIDS i jego metafory*, przeł. J. Anders, Kraków 2016, s. 170.

zarazem, jeśli można tak powiedzieć, krytycznym posłowiem do pierwszej części, niejako pogłębioną analizą postawionego na początku problemu.

Sontag uważa, że obecne sposoby rozumienia chorób w większości utrwały się już w epoce romantyzmu, kiedy to stosunek choćby wobec takiej choroby jak gruźlica przeobraził ją nieomal we wzniósł mit. Wiek dziewiętnasty jest kluczowy pod tym względem również dla współczesnych mitów dotyczących raka i innych śmiertelnych schorzeń. W przeszłości bowiem nowotwór uważano za chorobę „upodlającą” człowieka. Za śmiertelną dolegliwość, która „żywiła się” ciałem, która je „konsumowała”. Z tego powodu w pierwszym przypadku, zdaniem Sontag, mamy do czynienia z estetyzacją choroby i śmierci wywołanej suchotami, w drugim zaś, ze zjawiskiem jak gdyby odwrotnym, a mianowicie ze swego rodzaju „pogardą” dla cielesnej śmierci wywołanej przez raka. O gruźlicy mówiono i pisano jako o chorobie pełnej gwałtownych tchnień ludzkiego ducha, natomiast o raku jako o utajonym „konsumencie” powoli i systematycznie pożerającym bezbronnego człowieka. Różnic jest dużo więcej. Tym zaś, co wspólne w przedstawieniu obu tych chorób, jest jedynie fakt, że obie wywołują lęk i ostatecznie prowadzą do śmierci.

Romantyzacja gruźlicy, zdaniem Sontag, wzniosła jej „ideę” do poziomu choroby niemal „szlachetnej”, a nawet „pożądaney”. Mam na myśli fakt, że w szczególnej epoce kultu „ducha” ludzie cierpiący na gruźlicę byli postrzegani przez ówczesne elity Europy (przez wielu filozofów i pisarzy), jako osoby w pewien sposób atrakcyjne, wrażliwe i interesujące. Estetyzacja ta w znaczący sposób wpłynęła na emancypację owych „interesujących” wyróżnionych przez chorobę ludzi zwłaszcza w środowiskach artystycznych oraz elitach mieszczańskich. Albowiem jeden z mitów głosił, że choroba ta w największym stopniu „przysługuje” przedstawicielom cyganerii wielkich miast. Jakie znaczenie dla rozumienia ówczesnej sztuki miały fantazmaty na temat gruźlicy, ilustruje następujący cytat: „Obiegowy sąd łączący gruźlicę z twórczością był tak mocno ugruntowany, że pod koniec wieku pewien krytyk twierdził, iż to właśnie stopniowe ustępowanie gruźlicy stało się przyczyną schyłku w literaturze i sztukach plastycznych”². Z drugiej strony ludzie cierpiący na tę chorobę – pomimo całego „blasku” towarzyszącego gruźlicy – byli odizolowani od społeczeństwa, przekształcając się w indywidua zatopione w melancholii, smutku, a nawet do pewnego stopnia pociągającym obłądnie. Z jednej strony przejawiali cechy gwałtownej żywotności, choć

² Tamże, s. 34.

z drugiej ulegali nieodwracalnemu uczuciu zbliżającej się śmierci. W rezultacie doprowadziło to do powstania powszechnego przekonania, że „[z]drowie staje się banalne, niemal wulgarne”³. Pogląd ten współcześnie wydaje się nie do zaakceptowania.

Moim zdaniem na wyróżnienie zasługuje uwaga, że osoby cierpiące na gruźlicę, zgodnie z owym mitem „szlachetnej” choroby, żywią w istocie przekonanie o moralnym uświęceniu swych cierpień. Stereotyp ten w bez porównania mniejszym stopniu dotyczy osób chorych na nowotwór. Jak pisze Sontag: „Śmiertelna choroba zawsze była uważana za sprawdzian charakteru moralnego, ale w wieku dziewiętnastym widać powszechną niezgodę na to, by ktokolwiek egzamin ten oblał”⁴. Ten wyjątkowy związek choroby z charakterem osoby cierpiącej na gruźlicę (w dalszej kolejności po części również raka) wydawał się w dziewiętnastym wieku, ale również wcześniej (autorka powołuje się na rozważania Immanuela Kanta), zupełnie oczywisty. Początkowo – jak twierdzi – gwałtowne uczucia uważano za jedną z „przyczyn” choroby. Choroba jest niejako „środkiem” ekspresji tych uczuć. Tak jak epidemie wyrażały stan całych społeczeństw, tak również rak czy gruźlica stanowiły wyraz indywidualnego charakteru, uczuciowego stanu jednostki. Oczywiście obciążanie pacjenta odpowiedzialnością za chorobę, która go dotyka, jest niedorzeczne, a w dalszej perspektywie po prostu krzywdzące⁵.

Również stosunek do raka w dziewiętnastym wieku był szczególny. Choroba nowotworowa nie dotyczyła tylko ciała, ale również stanowiła wyraz nadmiernej pracy intelektualnej oraz przesadnej ilości przeżywanych trosk. Inaczej mówiąc, w zachowaniach i postawach ludzkich szukano przyczyny choroby nowotworowej. Z rakiem jednak w większym stopniu, niż w przypadku gruźlicy, łączyła się pogarda wobec samego chorego. Sontag polemizuje na przykład z przekonaniem, jakoby przyczyną raka piersi u kobiet była melancholia, zwana dzisiaj, mniej romantycznie, depresją, albowiem „obserwacje z drugiej połowy dziewiętnastego wieku podważają raczej niż potwierdzają pojęcia z drugiej połowy wieku dwudziestego – ukazują bowiem typ maniackalny lub maniackalno-depresyjny, który jest niemal dokładnym przeciwieństwem żalostnej, nienawidzącej siebie, emocjonalnie odrętwiałej

³ Tamże, s. 27.

⁴ Tamże, s. 42.

⁵ Czytelnik po przeczytaniu tych słów, już wie: „Psychologiczne teorie choroby są niezwykle skutecznym sposobem przrzucania odpowiedzialności na chorego. Pacjenci, którym się mówi, że nieświadomie sprowadzili na siebie chorobę, muszą też nabrać przeświadczenia, że widocznie na nią zasłużyli”. Tamże, s. 54.

istoty uważanej dziś za osobowość podatną na raka”⁶. Co istotne, amerykańska intelektualistka nie twierdzi, że stan psychiczny chorej osoby nie ma znaczenia dla przebiegu leczenia, jednak nie godzi się ze stereotypem, jakoby emocjonalne troski miały być powodem raka czy innych chorób. Zdaniem Sontag ta szczególna psychologizacja gruźlicy oraz raka oddała nas od realnej wiedzy na temat tych chorób. W konsekwencji współcześnie oddalamy się, jeśli można tak powiedzieć, od rzeczywistości śmierci.

Język, którym posługują się pacjenci i lekarze, jest językiem, który na co dzień kojarzymy bardziej z działaniami wojennymi aniżeli z medycyną. Na przykład mówimy, że komórki rakowe „bombarduje” się promieniami w ramach radioterapii; że komórki rakowe dokonują „przerzutów”; że celem kuracji jest „zgładzenie” „wrogich” i „obcych” komórek; że, jak się zdaje, po dziś dzień prowadzimy „wojnę z rakiem”. Sprawia to, że wiele osób traktuje chorobę nowotworową w istocie jako coś z pogranicza *science fiction*. Jasnę, że niewiedza na temat choroby sprzyja tworzeniu się rozmaitych metafor, fantazmatów: niegdyś wokół gruźlicy, a współcześnie na temat raka. Fakt, że popadamy w „światopogląd paranoi” oddaje uwaga amerykańskiej intelektualistki, wskazująca, że: „[g]uzy mogą być »złośliwe« lub »łagodne« niczym duchy...”⁷. Co więcej, Sontag jest w pełni świadoma, że metafory te po upływie dziesięcioleci nabrały niechlubnej mocy i przekształciły się w obraźliwe slogany chętnie używane w polityce. Mówi się o chorym kapitalizmie, rakotwórczym mieście, o „inwazji” slumsów na „zdrową tkankę” dzielnic zamieszkanych przez klasę średnią, współtworzącą organizm wielkich metropolii. W taki sposób wyrazistą metaforę choroby wykorzystali na ziści w kontekście polityczno-społecznym. Antysemityzm przedstawiany był w języku również za pomocą tego rodzaju metafor i fantazmatów. Aplikacja „leku” na tę rzekomą „chorobę” pochłonęła, jak wiadomo, miliony istnień ludzkich. Dlatego Sontag pisze wprost, że: „[p]rzedstawianie jakiegoś zjawiska jako raka, to nawoływanie do przemocy”⁸.

W drugim eseju o AIDS nie mówi się jako o chorobie („Ściśle mówiąc AIDS – Zespół Nabytego Braku Odporności – nie jest sam w sobie nazwą choroby, ale nazwą stanu medycznego, którego konsekwencją może być cała gama innych chorób”⁹), niemniej dla prowadzonych tu rozważań, chciałbym

⁶ Tamże.

⁷ Tamże, s. 70.

⁸ Tamże, s. 83.

⁹ Tamże, s. 98.

abyśmy o AIDS mówili jako o chorobie właśnie, co wydaje się zbieżne z tym, jak w mowie potocznej wyrażamy sądy o Zespole Nabytego Braku Odporności. W przypadku AIDS bowiem mamy do czynienia z podwójną genealogią metaforyzacji. Po pierwsze, jest ona zbieżna z „militarnym” postrzeganiem raka, po drugie, z „nieczystością” syfilisu. Nieczystością, która wywiedziona została z zakaźnego charakteru choroby oraz z sposobu przenoszenia AIDS drogą płciową. Zestawienie w tym przypadku tych dwóch faktów ma właśnie daleko idące konsekwencje dla współczesnego „chorego” rozumienia HIV i AIDS. Zarówno AIDS, jak i syfilis są chorobami postępującymi, to znaczy są „chorobami czasu”. Rak wprawdzie również jest takim schorzeniem, lecz – jeżeli można tak powiedzieć – chorobę nowotworową w większym stopniu odnosimy do geografii ciała, aniżeli do „postępu” wyrażającego się przechodzeniem z jednej do drugiej, w końcu ostatniej, trzeciej fazy.

To, co w tym kontekście różni raka od AIDS to sposób „wpędzania” w poczucie winy. Niewątpliwie jest tak, że poszczególne choroby (nie tylko te omawiane szeroko przez Sontag) łączymy często z pewną dietą, aktywnością czy po prostu sposobem życia. A jednak nazbyt pochopnie zwykliśmy uważać rozmaite dolegliwości za skutek „złego prowadzenia się”. Szczególnym przypadkiem takiego „złego prowadzenia się” byłaby na przykład nieodpowiednia dieta, nadmiernie bogata w tłuszcze. AIDS również towarzyszy poczucie winy, lecz zważywszy na sposób, w jaki może dojść do zakażenia tą chorobą, poczucie winy jest dalece bardziej obciążające: „Niebezpieczne praktyki wywołujące AIDS osądza się jako coś więcej niż słabość. Są folgowaniem sobie, występkiem – uzależnieniem od nielegalnych substancji i oddawaniem się praktykom seksualnym uważanym za zboczony”¹⁰. Zatem również stygmatyzacja towarzysząca chorym na AIDS jest znacznie dotkliwsza, aniżeli w przypadku takich chorób zakaźnych jak gruźlica czy syfilis. Choroba staje się w tym przypadku występkiem kojarzonym nie tylko z rozwiązłością, ale również z praktykami seksualnymi, które zwykle uważa się za nienaturalne czy perwersyjne. Hemofilicy są nader często poddawani tego samego rodzaju napiętnowaniu moralnemu. Widzimy więc, że sam tryb zapadania na chorobę sprzyja w pewnych warunkach tworzeniu się mitów, które z jednej strony mogą zniechęcać do dalszego bądź też jakiegokolwiek leczenia, a z drugiej strony wizje domniemanej „nieobyczajności” czy „nieczystości” pacjenta zarażonego wirusem, obarczają go winą tak wielką, że zdaje się ona nawet prze-

¹⁰ Tamże, s. 107.

kraczać samą chorobę. „Najbardziej boimy się nie cierpienia jako takiego, lecz cierpienia, które degraduje”¹¹ – podkreśla Sontag.

Tym, co odróżnia dzisiejszy obraz AIDS od metaforycznego obrazu gruźlicy, syfilisu czy raka sprzed kilkunastu dekad, jest brak absurdałnej romantyzacji, estetyzacji i psychologizacji tej pierwszej choroby. Czytelnik może jednak odnieść wrażenie, że mitom AIDS towarzyszy coś jeszcze gorszego. Chorych na AIDS traktuje się zwykle jako tych, którzy „są sobie winni”, jako ludzi, którzy muszą znieść obrzydliwości choroby w zamian za swe „złe” uczynki. Objawy syfilisu czy cholery były często uważane za przejaw zarazem gnicia ciała, jak i degradacji samego człowieczeństwa. Ten moralistyczny sposób oceny chorych widoczny był również wcześniej, już w szesnastym wieku, kiedy syfilis święcił w Europie „swe triumfy”. Jeżeli kary wyrażającej się chorobą nie miał wyznaczyć sam Bóg, to jej sprawcą miał być „inny”, „obcy”, „nieczysty” i „zły” człowiek czy całe społeczeństwa, które „wymieszały się” z lepszym Światem Zachodnim, przybывая z Wschodu, zza oceanu albo z Południa. Dziś stereotyp brudnego, nieczystego „innego” wydaje się wciąż aktualny. Niestety. Często więc zdajemy się łączyć zdrowie z wartościami, z cnotliwym życiem, wolnym od „skrajnych” doświadczeń, takich jak te, które przypisujemy grupom osób społecznie naznaczonych brakiem smaku i godności (na przykład homoseksualistom, osobom żyjącym w skrajnej biedzie oraz wszystkim tym, którzy postępują w sposób „karygodny”). Wyjątkiem są jedynie dzieci i młode kobiety. Uważano tak między innymi w wiekach osiemnastym i dziewiętnastym. Czy dziś nie myślimy podobnie? Zdaniem Sontag myślenie takie stanowi problem polityczny.

Amerykańska intelektualistka w końcowych dwóch podrozdziałach omawianej pracy zarysowuje niezwykle ciekawy, ale też bardzo krytyczny obraz świata zachodniego, co sprawia, że omawianą książkę czytelnik może potraktować zasadniczo jako coś więcej niż „ciekawostkę” na temat metaforyzacji chorób. Z kolei fakt, że żyjemy w „świecie obrazów”, o którym Sontag pisze w *O fotografii* i *Widok cudzego cierpienia*, sprawia że „obrazy” wydają się jeszcze bardziej odrealnione. Metafory, fantazmaty oraz „obrazy” zderzają się z rzeczywistością, z konkretnymi sposobami leczenia. Aby choroba stała się jedynie chorobą, należy, zdaniem autorki omawianej pracy, za każdym razem zwalczać opisane wyżej metafory oraz towarzyszący im „militarny” język i ponurą wizję tak zwanego „bezpieczeństwa” publicznego. „Ponurą”, ponieważ implikuje ona przemoc wobec społeczeństwa oraz przyczynia się

¹¹ Tamże, s. 118.

do stygmatyzacji chorych i „innych”. Wraz z odkryciem leku na AIDS choroba ta, jak twierdzi Sontag, tak samo jak gruźlica czy syfilis, stanie się jedynie chorobą i niczym więcej, aniżeli chorobą właśnie.

Książka Susan Sontag jest krokiem ku temu, by choroba stała się czymś realnym i konkretnym, a nie tylko i wyłącznie sztuczną, oskarżycielską „nadbudową”, która utrudnia, a nie ułatwia jej zwalczanie.

Jakub Maciejewski

Uniwersytet Mikołaja Kopernika, Toruń, Polska
jakub_maciejewski@wp.pl